Rok XXXIII Warszawa, d. 23 Marca 1912 r. Nr 12

WIECZORY RODZINNE

TYGODNIK ILUSTROWANY DLA MŁODZIEŻY.

DO POWIEŚCI „SPRZYMIERZEŃCY".

Zastał skuloną jakąś postać...

Z. MORAWSKA.

Sprzymierzeńcy

POWIEŚĆ Z ROKU 1812.

D. C.

I nie czekając, wszedł do pokaźnego domu na ulicy Moskiewskiej, rozkazując urządzić sobie kwaterę.

Adjutant Chłapowski będący na służbie i cały sztab rozlokowali się dosyć wygodnie w opróżnionym przez właścieiela domu.

Skorzystał również z pierwszej lepszej sposobności i prosił Kamińskiego, żeby Olszaka mógł wziąć do swego pułku.

Podoba się jenerałowi dzielny piechur? — spytał dość niechętnie Kamiński.

— Każdemu się podoba jego spryt i odwaga — odrzekł Chłapowski. — Główną jednak przyczyną — ciągnął dalej — jest to, że pochodzi z wioski należącej do moich rodziców; znamy się oddawna, a w dodatku prosił mnie, żeby mógł być przeniesiony do konnicy.

Kamiński zmarszczył brwi, zamyślił się, potem machnął ręką i rzekł:

— A niech tam idzie!

Nim opuszczono Smoleńsk, Olszak przeniesiony do pułku Chłapowskiego, siedział na tym samym koniu, którego zdobył na kozaku.

VIII.

WIEDŹMA.

Dzień 15 sierpnia, dzień imienin Napoleona, upamiętniony zdobyciem Smoleńska, nie przyniósł jednak takiej radości i upojenia, jakby się można było spodziewać.

Ludność wprawdzie nie okazywała wrogiej niechęci; owszem zwłaszcza mieszkający dość licznie polacy przyjmowali chętnie rodaków, wypytując:

— Słyszeliśmy, że to *wojna polska!*

— To i nas pewnie do korony przyłączą?

— Ale po co te francuziska?

— Toć to rabusie!

W ogóle też o francuzów się nie troszczyli, niechętnie na nich spoglądali.

Lecz miasto było ogołocone z zapasów i mieszkańcy najbardziej nawet gościnni nie mieli się czem dzielić z przybyłymi.

O ile się zdaje, rosyanie długo nie mogliby bronić twierdzy, zabrakłoby im żywności.

Napoleon, obejrzawszy dokładnie Smoleńsk, rzucił do marszałka Neya:

— Dotąd ziemie zajęte! Wyjdziemy z miasta, stoczymy jednę i drugą bitwę i wrócimy...

I zatrzymał się.

— W roku przyszłym wrócimy! — dodał po chwili. *)

Marszałek Ney promieniał radością.

W tem przyszedł raport:

O półtorej mili, na drodze moskiewskiej, przednia dywizya jenerała Goudina stoczyła bitwę z nieprzyjacielem, który gwałtownie nacierał z zarośli. Jenerał stracił obie nogi, dużo mamy rannych, ale utrzymaliśmy plac boju. Rosyanie cofnęli się, rekonensans oznajmia, że nowe ich siły gotują się do walki koło Drohobuża na drodze do Moskwy.

Marszałek Davoust.

18 sierpnia 1812.

Napoleon, przeczytawszy raport, uśmiechnął się, potem zmarszczył brwi, spojrzał na mapę i wydał rozkaz:

— Za godzinę opuszczamy Smoleńsk przez bramę moskiewską.

Ney był zdziwiony.

18 sierpnia w południe władca z całą swoją świtą i wojskami opuścił Smoleńsk, zostawiając tylko niewielką załogę i rannych, wśród których był Chłopicki, oraz kilku znakomitszych oficerów.

Napoleon wyszedłszy, wskazał drogę prowadzącą do Moskwy, oddalonej od Smoleńska na 392 wiorsty.

Chce obejść całą armię, rozłożoną przeszło na 3 mile dokoła! — pomyślał Ney.

Lecz jakież było jego zdziwienie, gdy usłyszał rozkaz:

— Na Moskwę!

Książę Józef wprost zdrętwiał.

A że według regulaminu winien mu był przedstawić się i zdać raport, że od dwóch dni połączył się z główną armią, stanął więc przed władcą.

— Zatknęliśmy po sam Dniepr sztandar zwycięski! Zatkniemy go wkrótce w Moskwie! — odezwał się Napoleon z pewną chełpliwością.

— Najjaśniejszy panie—rzekł książę—śmiem znów powiedzieć, że kraj tak ogołocony z żywności, iż dalszy pochód jest wprost niepodobieństwem.

W miejsce odpowiedzi władca rzucił mu gniewne spojrzenie i zawołał dobitnie:

— Na Moskwę!

Poczem odwrócił się, zaklął półgłosem, na-

*) Dosłowne.

kreślił coś na papierze i oddał służbowemu oficerowi.

Na pierwszym postoju dwóch francuskich oficerów zgłosiło się do księcia Józefa.

Milcząc, podali mu papier.

Na nim był rozkaz:

Poruczników Alfreda Goutier i Ludwika Bellin, mianujemy przybocznymi adjutantami księcia Józefa Poniatowskiego.

Napoleon I, cesarz *)

W obozie, 12 sierpnia 1812.

— Daje mi dwóch stróżów, nie ufa mi! — zgrzytnął książę.

I zagryzł do krwi wargi.

Jednocześnie pomyślał:

— Czemuż nie mogę zmyć krwią tej obelgi!

I piękne zawsze, mimo lat pięćdziesięciu, jego lice zasępiło się szczerym bólem.

Lecz władca tego nie widział. Książę Józef zaś myślał:

— Dla osobistej urazy cofać się nie mogę!

I wlókł się dalej, lecz bez tego zapału, jaki w nim wzniecała zwykle wojna.

Wlokło się i wojsko.

*) Historyczne.

Droga przedstawiała nad wyraz smutny widok.

Pola źle uprawne, ogołocone z zasiewów ściętych i spasionych na zielono, lub tak stratowanych przez wojska rosyjskie, jak gdyby pług nigdy tej ziemi nie dotknął.

Wioski o kilkanaście wiorst jedna od drugiej, opuszczone były zupełnie z mieszkańców i nędznego sprzężaju.

— Lepiej było bodaj w piechocie, chociaż człek głodu przymierał, nie patrzył przynajmniej, jak koń chudnie — bąknął Jędrek do Barnaby, szeregowca pochodzącego również z Turwii.

— Aleś podoficer — odparł tenże.

— Co po tytule... kiedy pusto w brzuchu!— mruknął Jędrek, patrząc na wyłaniające się jakieś chaty, o których istnieniu wydobywający się dym oznajmiał.

Wioska ta naznaczona była na postój.

— Znajdziemy w niej może co...— szepnął Jędrek.

I poklepawszy strudzonego konia po karku, jechał z lepszą fantazyą.

Rozstawiono namioty dla władcy. Wojsko rozlokowało się, jak kto mógł.

Jędrek wszedł do pierwszej chaty.

Jednocześnie wstała, chcąc mu zarzucić na głowę czerwoną płachtę.

Izba była pełna dymu, nie można było na razie nic w niej rozpoznać.

Zakrztusił się i począł kaszlać.

— Hi, hi, hi! — odezwał się śmiech z kąta.

Jędrek, zostawiwszy drzwi otwarte, podszedł skąd chichot dochodził.

Zobaczył w kącie skuloną jakąś postać kobiecą z rozczochranemi, spadającemi na czoło włosami, z pod których świeciły oczy brzydkim chytrym wyrazem.

Przyglądała się młodemu podoficerowi, odziewając się szczelnie czerwoną płachtą i czyniąc nią jakieś rytmiczne zwroty.

— Daj chleba, dziewczyno! — zawołał Jędrek.

— Hi, hi, hi! chleba? Gorącej smoły dam chętnie! — zawołała chrapliwym głosem po rosyjsku, nie podnosząc się z miejsca.

Jędrek, który podczas podróży nauczył się nieco wyrazów rosyjskich i jako tako rozumiał tę mowę, odrzekł żartobliwie:

— Eh, taka młoda i ładna dziewczyna częstowałaby gorącą smoła, jak jaka stara wiedźma.

— Hi, hi, hi, skąd wiesz, żem młoda i ładna, kiedy oczu moich przez dym nie widzisz?

I owinęła się doszczętnie swą płachtą.

Dym, wychodzący z rozłożonego na środku ogniska, nie mogąc się dostatecznie wydostać przez otwór w pułapie, gryzł go i dusił niemiłosiernie. Chęć jednak zdobycia dla siebie i swego konia jakiegoś pożywienia górowała nad wszystkiem. Rzekł więc znowu:

— Wiem, żeś nie taka zła, jak się wydajesz i zgłodniałemu żołnierzowi i koniowi nie poskąpisz pożywienia.

— Hi, hi, hi! mam dwa nietoperze suszone, ucho sowie i sadło niedźwiedzie; dam; jak pożresz, ty i twój koń; będziecie mieli do końca życia!

To mówiąc, rzuciła nań garść jakiegoś suchego zielska. Jednocześnie wstała, chcąc mu zarzucić na głowę czerwoną płachtę.

Jędrek końcem pałasza zerwał chustę, powiał nią jak sztandarem i rzekł:

— Stara wiedźma, com ją spotkał na rozłogu, powiedziała: Idź do tej a tej chaty, znajdziesz tam dziewuchę siedzącą w kącie, powiedz jej, niech ci da wszystko z komory, co ma do jedzenia a i owsa dla konia.

— Stara wiedźma z czerwonemi oczami? — spytała dziewczyna.

— Tak, tak, z czerwonemi, chustę miała jak dwa rogi zawiązane na głowie...— mówił dalej Jędrek, na los szczęścia. Pewnie twoja matka?— dodał.

— Gdzie tam matka! to czarownica, co mnie porwała i urzekła; teraz muszę gadać i robić wszystko, co każe.

— Widzisz więc, ona każe dać jeść, to daj, a ja za to dam tobie świecący pieniądz.

— Pieniądz?... pieniądz?...—powtórzyła dziewczyna. — Gdybym jeno go miała, uciekłabym w świat.

C. D. N.

Młodość Z. Krasińskiego.

(W setną rocznicę urodzin). c. d.

W *Nieskończonym poemacie* mówi on w lat kilka później do Aligiera (Danielewicza).

„Ot, widzę ten stary budynek, w którego salach tysiąc rówieśników moich siedzi, a nauczyciele z katedr mówią do nas. Widzę te w węża załamane schody — i zakręt ten — i wchód ten sam, kamienny. Nieprawdaż, harde było ze mnie chłopię, choć niedorosłe i wątłe na siłach. Szedłem właśnie z domu, przechodziłem wśród nich wszystkich z dumą na czole, świadom, że mnie nienawidzą — lecz czemu — nieświadom. Ścisnęli się kołem i coraz mi ciaśniej! Krzyczą: panicz! panicz!, jakby hańbą być mogło, że wskazać mogę, gdzie za ojczyznę gardło dał niejeden z ojców moich i w jakim leży pochowan kościele. Boże! w piersiach dziecinnych pierwszy raz wtedy *piekło* się wodziło — poręczy żelaznych się chwyciłem— oni ciągną mnie na dół za ręce, za nogi, za płaszcza zwoje. Byłbym może pod ich stopy runął, ale tyś się ukazał.

„Krzyknąłeś — oni odpadli ode mnie, jak liście suche odpadli ode mnie...“

Po siedmiu dniach od owego zajścia nastąpił fakt, który podajemy według urzędowego raportu inspektora Carré do inspektora jeneralnego przy uniwersytecie warszawskim.

„Gdy dziś uczeń Zygmunt Krasiński wszedł do auditoryum, gdzie od 5—6 literatura polska przez W-go profesora Brodzińskiego wykładaną być miała, dało się słyszeć po lewej stronie szurganie nogami, które ustało, jak tylko tenże uczeń, poprosiwszy o głos, z niemałym zapałem do obecnych uczniów w te się odezwał słowa: „Oskarżony jestem, jakobym miał powiedzieć, że mąż, który niedawno pochowanym został, nie wart jest szacunku. Ponieważ tego przed nikim nie powie-

działem, że nawet o tem nie myślałem, ogłaszam za fałsz i potwarz, co tylko w tej mierze kto powiedzieć może! gdy twierdzą, żem miał to któremu z kolegów oświadczyć, niechaj występuje ten, który miał to ode mnie słyszeć! Niechaj występuje! Dlaczego nikt się nie odzywa? Gdzie jest? Co mam z tego wnosić? zdaje się, że nie potrzebuję więcej dla przekonania was, że na mnie potwarz rzucona jest. Byłem wprawdzie z tej przyczyny od kolegów znieważony, lecz im to z serca daruję, nie oskarżyłem ich i nie oskarżę... Po prelekcyi występuje uczeń—Leon Łubieński i zapewnia wszystkich słowem honoru, że to jemu powiedział Zygmunt Krasiński, gdy szli razem na prelekcyę finansów. Tu dopiero wszczęła się żywa kłótnia między jednym a drugim. Nareszcie po długich sprzeczkach Zygmunt Krasiński wyzwał formalnie Leona Łubieńskiego na pojedynek, nazywając go kłamcą i potwarcą... Brodziński, powróciwszy do audytoryum, tyle dokazał prośbami, uwagami i znaną wymową, iż do podania sobie przyjacielskiej ręki obydwie strony nakłonił z wielkiem ukontentowaniem obecnych audytorów, którzy przez niejaki czas jednomyślnie wołali: „zgoda, zgoda, niechaj wszystko będzie zapomniane!".

Łatwo było zapomnieć widzom, lecz główny aktor tego dramatu życiowego, który gwałtownie szarpnął wszystkiemi strunami jego najdroższych uczuć, nie mógł zdobyć się na to. Nie przebaczył on więc Łubieńskiemu ani teraz, ani po latach, kiedy ten go o przebaczenie błagał.

Rada uniwersytecka skazała obu na „ciche wydalanie z uniwersytetu" dnia 24 marca 1829 r.

W pamiętniku Kajetana Koźmiana znajdujemy następującą cierpką, a słuszną uwagę nad powyższem zajściem, skreśloną po kilku latach:

„Wielu z zapalonych świadków, którzy pierwsi wznieśli ręce dla znieważenia Zygmunta Krasińskiego, dziś posiada intratne urzędy, u obecnej władzy jest w znaczeniu, kiedy przeciwnie Zygmunt Krasiński, dziś już mąż dojrzały, trawi życie, jako męczennik najszlachetniejszych uczuć, dowodząc ciągle, czem był podówczas i jakie zasady miłości ojczyzny w domu rodzicielskim nabyte w duszę jego wrosły".

Zygmunt dowiódł ojcu swej miłości. Czy Wincenty Krasiński był szczerze z tego zadowolony — nie wiemy, dość, że nie chcąc w dalszym ciągu narażać syna na zajścia z kolegami, wywiózł go do Opinogóry.

Podczas przymusowych tych wakacyi, Krasiński czytał dużo. Pisał w dalszym ciągu powiastki historyczne, wykończał *„Zbigniewa"*, powstałego pod wpływem, jak to zaznaczyliśmy, Walter-Scotta, któremu to utworowi nadał w końcu tytuł: *„Władysław Herman i jego dwór"*. W tymże czasie powstaje *„Mściwy Karzeł i Masław książę Mazowiecki"*, powieść narodowa, oraz *„Zamek Wilczki"* i *„Sen Elżbiety Pileckiej"*. Utwory te mają wszystkie cechy młodzieńczości, wzorującej się na ówczesnym romantyzmie, rozkochanym w malowaniu obrazów posępnych, złowieszczych i krwawych, w przedstawianiu postaci, dręczących się ukrytą tajemnicą okropnych zbrodni — a główną cechą fantazya, przemieniająca ziemię w jakiś ogród bajeczny, pełny purpury, złota, i seledynowego powietrza, poprzez które zlewają się strugi słonecznego światła. Jakieś arabeski myślowe, wężowe, nieskończone sploty, znaki tajemnicze i straszne słowa — oto jest pole, na którem pomysły swoje roztaczał młody Krasiński.

* * *

W roku 1829 wyjechał Krasiński do Genewy. Miał wówczas lat 17; za mentora dodał mu ojciec Jakubowskiego. Zdążali przez Pragę czeską, Zurich i Bern, gdzie widział Krasiński czarowny wschód słońca na Oberland. Zaledwie opuścił ziemię ojczystą, już go tęsknota za nią ogarnęła, bo nawet cudnego Lemanu „nie odstąpiłby za wspomnienie o stawie opinogórskim". 3 listopada stanęli podróżni na miejscu, gdzie zamieszkali na pensyi pani Rézilliod. Krasiński nie był zadowolony, ani ze starej właścicielki pensyonatu, ani z jej brzydkich córek, ani z drożyzny genewskiej, wszakże dzięki temu, że pani Rézilliod spokrewniona była z pierwszymi domami genewskimi, wszedł Krasiński z radością w tamtejsze towarzystwo. Zapoznał się tu z anglikiem Reevem, który stał się jego przyjacielem na szereg lat.

Uczył się tu głównie języków, im też najwięcej czasu poświęcał; potem szła ekonomja polityczna i historya rzymska, którą na uniwersytecie genewskim wykładał słynny włoch Rossi.

Na rozmowach i wycieczkach z Reevem, oraz na nauce, biegły Krasińskiemu chwile, które zakłóciła niegrzeczność, doznana przezeń od niejakiego Mercier na balu, wobec Henryetty Willan.

Wypadek ten przyspieszył budzącą się w młodzieńcu miłość. Młodzi, oświadczywszy sobie uczucia wzajemne, nie mogli się łudzić marzeniami.

Krasiński był w rozpaczy, wiedząc, że ojciec pod żadnym pozorem nie zgodzi się na ślub z angielką. Poprzysięgli sobie jednak miłość dozgonną, a 14-go kwietnia 1830 r. nie było już Henryetty w Genewie. Złamany Krasiński, na łonie wstrzemięźliwego w okazywaniu uczuć anglika, wypłakał boleść swoją, lecz nie ukrył jej przed ojcem i opisał w liście z d. 30 kwietnia.

Wypadek ten rozognił jego fantazję. Płomień pałający nieustannie w duszy jego nie pozwalał ostygnąć szlachetniejszym uczuciom młodzieńca i zniżyć lot ducha. Zatopił się on teraz w twórczości.

W podróży do Chamonix, którą odbył z Jakubowskim i Reevem, wziął się z nudów do pisania wierszy, „i pierwszy raz w życiu udało mu się kilka znośnych napisać". Chciał je Krasiński posłać Gaszyńskiemu, lecz zmieniwszy zamysł, postanowił pokazać Odyńcowi, który właśnie bawił w Genewie z Mickiewiczem.

C. d. n. *Albin Jachondowicz.*

Walka z żywiołem. C. d.

Ale znakomita tama wyszła z tej próby zwycięsko.

Nazajutrz, po drobiazgowych oględzinach, przekonano się, iż burza wyrządziła szkody nieznaczne; tylko gdzieniegdzie ukazały się rysy, jakby od pazurów zwierzęcych.

Nie wszystkie, niestety, środki przedsiębrane przez wynalazczość ludzką w celu obwarowania się od nawałnic morskich, osiągają tak pomyślne, jak w porcie Cherbourg rezultaty. W innych warunkach całe nadbrzeże zostałoby na łasce nieubłaganego żywiołu!

W dziesięć lat później, kraj Penmarch zalany był na bardzo obszernej przestrzeni wodami oceanu. Ludność, schroniwszy się do kościołów, nie wątpiła, że nastąpi drugi legendowy potop.

Morze nie odpływało przez pięć tygodni; a gdy nareszcie ziemia oswobodziła się od zalewu, na gruntach, dawniej urodzajnych i bogatych, nie było już ani jednej rośliny, ani źdźbła trawy. Gleba została tak głęboko przesiąknięta solą, iż w okresie dwuletnim nie uprawiano jej wcale; ziarno przyjąć się i zakiełkować by w niej nie mogło.

Słowem, zamiast łanów bujnej zieleni, pozostała jałowa, rozpaczliwa pustynia!

III.

Dwie trwogi. — Zagrożona wyspa.

Przed kilkudziesięciu, mniej więcej, laty wyspa Sein, posiadłość francuska, ostatni kraniec ubożuchnego i stałego lądu, wrzynający się w wody Atlantyku, o mało co nie stoczyła się do głębin morskich razem ze swoją, dość zaludnioną osadą, latarnią morską, polami uprawnemi i całem pokoleniem mężnych żeglarzy, potomków rasy słynnej z ratowania tonących, które samo stosowało w życiu tę szlachetną tradycyę.

Kilkakrotnie już biednej krainie groziły wielkie niebezpieczeństwa, ale zima w roku 1896 okazała się dla niej wprost fatalną.

Przez siedemnaście dni i nocy trwała nieopisana trwoga mieszkańców. Jedyny łącznik ich ze światem, druty telegraficzne, wicher pozrywał od pierwszej chwili. Tyle tylko mieli czasu, aby zawiadomić prefekturę w Quineper, na co będą narażeni, jeśli, jak wskazywało doświadczenie, tamy broniące wyspy od zachodniej strony nie zdołają wytrzymać naporu bałwanów.

Grobla w Dieppe podczas burzy. Fale, jak wskazuje fotografia, przeskakują swemi potężnymi wierzchołkami przez groblę, czyniąc ją niedostępną.

Aż do końca tego strasznego cyklonu nie wiedziano nic we Francyi o tragedyi odgrywającej się w tym zakątku nieszczęsnym. Przyjście z pomocą oblężonym mieszkańcom należało do rzeczy niewykonalnych.

Nawet w porze łagodnej ocean u brzegów wyspy Sein pełen jest zasadzek, a gdy burza je nawiedza, nikt nie odważy się do nich zbliżyć; niezmierna ilość raf podwodnych stanowi pewnego rodzaju sidła, w które wpadają przepływające tam okręty.

Napróżno parowiec, który zazwyczaj dostarczał żywności wyspiarzom, starał się dobić do przystani; wszystkie jego usiłowania były bezskuteczne.

W ciągu trzech tygodni śledzono z rosnącem przerażeniem losy tego kawałka ziemi ukazującego się, niby złowrogie widmo, z poza wierzchołków przepaści falistych, które pochłonąć go mogły, i gdyby nie drżące światełko latarni morskiej, górującej nad odmętami, zdawałoby się, że wyspa ta na zawsze z liczby lądów zamieszkałych wymazaną została. Kiedy ostatecznie udało się przywrócić możliwą komunikacyę, ze

zdumieniem i radością zobaczono, że domy stały na miejscu a ludzie byli przy życiu.

Ale w jakim to wszystko okropnym stanie? Dachy pozrzucane, okna wybite; w pokojach i strychach masy piasku i mułu; najbliższe brzegów budowle pod stosami głazów, co je czyniło podobnemi do przedhistorycznych mogił i kurhanów. Cała wyspa przypominała wyglądem swoim owe olbrzymie nekropole (miasta umarłych), które przez szeregi wieków spoczywając na dnie oceanu, zostały nagle, wskutek jakiegoś wulkanicznego wstrząśnienia, wyrzucone z głębin morskich.

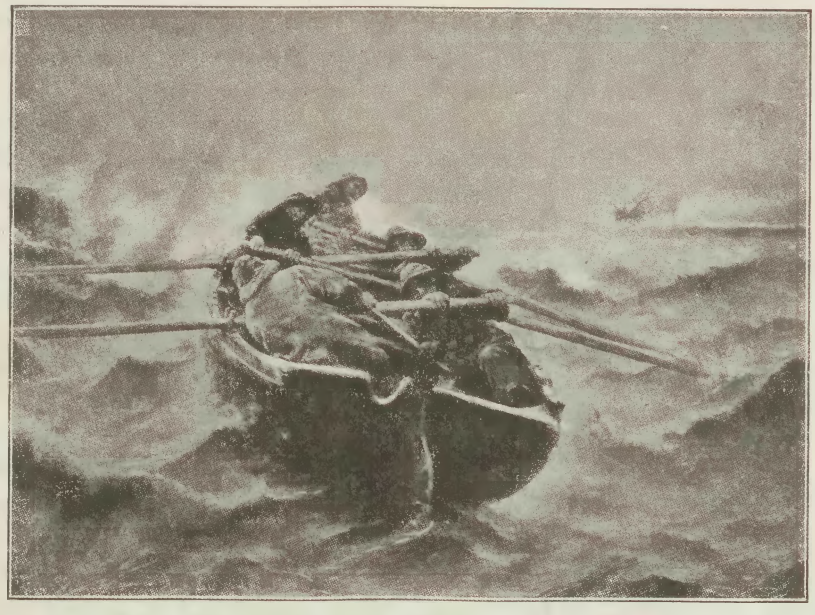

Wybawcy. Obraz Haquetta. Ileż to razy łódź ratunkowa niosła skuteczną pomoc rozbitkom, którzy już stracili nadzieję ocalenia. Z jakąż niesłychaną odwagą i poświęceniem ratownicy docierają do walczącego z żywiołem okrętu.

Latarnię owinęły wysoko gęste zwoje porostów, szeleszczących smętnie za każdym powiewem wiatru. Zresztą, pustka grobowa!

Ale współczucie całkowite należało się przedewszystkiem nieszczęśliwej ludności. Od kilku dni nie miała ona ognia, ani pożywienia.

Fale uniosły jedyny jej materyał palny t. j. krowieniec suszony na słońcu, a zabrakło też i mąki na wypiek podpłomyków, które podczas zalewu morza chleb przywożony parostatkami zastępować im muszą.

Trzeba było zadowolnić się w tem ciężkiem położeniu jarzyną z kartofli i małemi porcyjkami zeschłej ryby. Dodajmy dla ścisłości, że i te szczupłe zapasy wyczerpały się przed ukończeniem katastrofy.

„Byliśmy przygotowani na straszny los rozbitków“, zapewniał jeden z zamożniejszych mieszkańców.

Trudno wyobrazić sobie więcej przerażający obraz nieba i wody. Chwilami bałwany sinym, nieprzebitym wałem opasywały wyspę, na trzydzieści stóp w górę; dzikie ich wycie zagłuszało wszystko.

Ludzie zamknięci w czterech ścianach swoich izdebek, nie słyszeli trzasku ognia w kominie, ani nawet własnych głosów.

Z zawrotną szybkością wirowały w powietrzu kłęby chmur, przerzynane jak mieczem, oślepiającą błyskawicą, która na sekundę rozjaśniała noc ponurą.

Było to prawdziwie święto szatanów!

Kajutki kąpielowe w Wimarence wpędzone do ujścia rzeki przez fale, pogruchotane podczas pamiętnej burzy we wrześniu 1903 roku.

Nadbrzeżna ulica w Boulogne podczas burzy w grudniu 1903 r. Olbrzymie fale, zniszczywszy w paru punktach kamienną groblę portową, zalały całą dzielnicę położoną wzdłuż plaży, zatapiając piwnice i wytłaczając drzwi domów.

Nie wiedziano czasem, do jakiego świata ten zapomniany od Boga skrawek ziemi należy.

Nikt nie śmiał wyjść na ulicę; zamykano się w domach, jak w oblężonej warowni.

Wyobraźnia kobiet, podniecona w najwyższym stopniu, dodawała grozy wypadkom.

Niektóre wzbraniały się opuszczać przepełnionego już kościoła, którego dzwony pod ciągłem biciem fal wydawały przejmujące, żałobne dźwięki.

Wskutek wielkiego upadku ducha przedniejsi mężowie postanowili, aby wszystką ludność z wyspy usunąć, ale ten zamiar wywołał jedynie powszechne, gorące oburzenie mieszkańców.

„Jeżeli kraina nasza ma zginąć, to i my razem z nią zginiemy“ protestowali ogólnie, „ale porzucać groby naszych zmarłych nie godzi się, nawet za cenę życia!“

IV.

Cyklon i noc.—Tragiczne wspomnienia strażnika.

Jeżeli części lądu stałego, a nawet całe wyspy, nawiedzone burzą morską, zagrożone mają istnienie, łatwo sobie wyobrazić, jakiemu niebezpieczeństwu podlega w tych warunkach latarnia morska, której przeznaczeniem jest rozjaśniać zdradne ciemności, ostrzegać, i dodawać otuchy rozbitkom walczącym w chaosie zbuntowanych żywiołów.

Ta samotna wieża, uwieszona u skały, ta prawie stracona placówka, ma w sobie coś godnego poszanowania, nieledwie wspaniałego. Dobroczynne, nigdy nie gasnące jej światło, dowodzić się zdaje zwycięstwa idei miłosierdzia, nad siejącemi śmierć i zniszczenie zakusami sił wrogich ludzkiemu plemieniu.

Sprzysięgają się na nią i ocean i huragany, starając się zagasić tę słabą iskierkę, która panuje nad nimi a ginącym przynosi zbawienie.

Kiedy morze obrzuca ją straszliwymi pociskami, dławi niby wąż dusiciel, latarnia drży od wierzchołka do posad; jej granitowe ściany bywają często zrysowane przez fale, zbite, ale nic ich całkowicie skruszyć nie zdoła!

Zdarzają się jednak wypadki, w których osaczona strażnica doznaje poważnych uszkodzeń, groźnych nawet dla jej istnienia: zawiasy we drzwiach, albo drobne okienka pękają. Wtedy czuwający z trwogą widzą, że woda zaporami zaczyna się przedostawać, a jest tych latarników kilku najwyżej, i ci gotowi zawsze stawić czoło nieprzyjacielowi. W zamian żadnej pomocy z zewnątrz, zapomnienie od świata w razie porażki!

D. c. n.

Z dziejów starej pończochy.

(AUTOBIOGRAFIA).

Honny soit qui mal y pense.

Nazajutrz po tej straszliwej przygodzie, gdy dzieci z rana biegały w ogrodzie, Ola w rów z wodą wpadła koło drogi i bardzo sobie zamoczyła nogi. Nie chcąc się niani pokazać w tym stroju, Ola cichutko wbiegła do pokoju, zdjęła obuwie, i wnet nie na żarty zaczęła w szafie przewracać otwartej. Nim się spostrzegłam, ręka jej spotkała mnie, potem drugą pończochę porwała, choć nie od pary i wdziawszy nas obie, biegła znów nowych guzów szukać sobie.

Com przecierpiała na tej pierwszej próbie, o tem już nawet wspominać nie lubię; wszystkie mnie nici bolały ogromnie, za każdym skokiem myślałam:

— Już po mnie!

A skoków było więcej niż sto pewnie! Włókna by nawet rozeszły się w drewnie, a cóż dopiero w nieszczęsnej pończosze. Później przywykłam do tego potrosze. Pomyślcie państwo, co to za los srogi, długo na łasce być niesfornej nogi!

Wieczorem niania pytała zdziwiona, czemu bielizna w szafie przewrócona, a pończoch jedna nie zgadza się para? I bardzo długo dochodziła stara, kto mógł to zrobić? Janek, czyli Zosia? Słowem, ktoś przecież...

Lecz nie było „ktosia“!

. . . . . .

Już mnie dwa razy do prania oddano, już mi się zlekka przetarło kolano, zimowe chmury zwisły już na niebie; piękna młodości! jakże mi żal ciebie! I gdybym była, ja biedna pończocha, nie pochwyciła nauki choć trocha w dni twoich biegu, choć ich było mało. Cóżby mi, cóżby po tobie zostało?

D. c. n. *Kurpianka.*

Mucyusz Scaevola.*)

Noc dobiegała już swej połowy,
Gdy miesiąc blednąc obliczem,
Spoczynku pragnął dla własnej głowy
I smutnie myślał... o niczem...

Dźwięk żaden dumań tych nie zamąca;
Noc płynie senna i głucha...
Wtem, szara chmurka o chmurę trąca
I tak jej szepce do ucha:

— Zwiń się, podlećmy ku miesiącowi;
Choć już znużeniem jest blady,
Jednak w sieć światła jeszcze coś złowi
I gotów może snuć zdrady...

A gdym oparem była przy ziemi,
Słyszałam ważne rozprawy...
Wiem, że człek jeden dłońmi śmiałemi
Cios ma tam zadać dziś krwawy...

I tylko czeka naszego cienia,
W którym skryć pragnie stal broni;
W obozie wroga stanie bez drżenia,
Od klęski gród swój uchroni...

— I ja wiem o tem — druga odrzecze;
— Wiem, Kajus Mucjusz, on słynie;
Przysiągł z innymi na gołe miecze,
Że król Porsenna dziś zginie...

Niech dzielny młodzian przysiąg dokona,
Gdyż na to wielka jest pora;
Stolica długo już oblężona,
Etruskom uledz też skora...

— Co? wolna Roma jęknie w niewoli?
Etrurję chwałą oblecze?
Przenigdy! Jowisz sam nie zezwoli,
Choć wrogom sprzyja, nie przeczę!!

I gdy tak prawią, miesiąc bez siły,
Omdlałym spojrzał w nie wzrokiem...
Chmury go zwinnie płaszczem nakryły,
Niech śni, jak w łożu szerokiem...

Ostatnie jego blade promienie
Na Romę padły uśpioną,
Spoczęły w Tybrze na jedno mgnienie
I coraz głębiej w nim toną...

A Kajus Mucjusz dłużej nie zwleka;
Broń schwycił... uchem szmer łowi...
W ciemnościach szerzej drży mu powieka,
Jak gdyby miał w niej wzrok sowi...

Pełznie... o staję zaledwie jeszcze
Cel swych zabiegów dostrzega...
Kołacze w duszy drżenie złowieszcze...
Dech wstrzymał... namiot!... ten z brzega...

— Namiot Porsenny! Nie zadrży ręka!
Za wolność Romy, o bogi!
Wszedł... sztylet ściska... stąpa... przyklęka...
W łożu spoczywa król wrogi...

— Dłoń mą tu spalę, jeśli zechcecie...

*) Objaśnienia historyczne: w roku 507 przed Nar. Chr. Rrzym oblężony był przez króla Etrusków Porsennę, który pod wrażeniem bohaterswa Mucjusza istotnie zawarł pokój z Rzymianami, od murów wiecznego miasta ustąpił i odtąd nie wszczynał z niem wojny. Wsławili się jeszcze i Publjusz Scaevola, znakomity prawnik rzymski, Kwintus Scaevola, augur, konsul i nauczyciel Cycerona i Kwintus Scaevola, syn Publjusza, kapłan najwyższy, sławny przytem prawnik i mówca. — Napisał 18 ksiąg p. t. „Jus civile“ (prawo cywilne). Etrurja — dzisiejsza prowincya włoska Toskanja, słynna w swoim czasie uzdolnieniem mieszkańców do rzeźbiarstwa i snycerstwa. — Wyrabiali mianowicie prześliczne naczynia ozdobne, powszechnie sławione, jako wazy Etruskie.

Tu, w samo serce... pchnął! i cios drugi
Wymierza w gardziel rzęrzącą...
— O bogi! Któż to?... Pisarz?... Trup sługi?!
Kajusa myśli się mącą.

— Porsenna żywy!.. Klęska!.. nagana!..
Od łoża skoczył na stronę...
Pst... pieją kury, zwiastuny rana...
Brząkają straże zbudzone...

I... Kajus Mucjusz, oto pojmany!
Wiodą go zbiry gromadnie...
Szaty rwą na nim w smutne łachmany;
Niechaj przed królem w proch padnie!...

— Tyś niecnie godził na moje życie?
Rzekł doń Porsenna — ja żyję!
I wynagradzam cię też sowicie;
Za śmierć pisarza — dasz szyję!...

Lecz przedtem powiedz: wolisz katusze,
Czy rzec, kto spisek ten szerzy?
Ja o tem wiedzieć pragnę i muszę,
Nim cios mój w Romę uderzy!

— Jam nie jest zdrajcą! choć plebsu dziecię.
Rzymianin! Roma mi drogą...
Dłoń mą tu spalę, jeśli zechcecie,
Lecz męki — słów nie wymogą!

To mówiąc, prawą dłoń kładł w naczynie,
Gdzie płoną węgle zarzewiem...
Piecze ją, skwarzy, czas długi płynie,
On szepce: — Nie powiem!.. nie wiem!..

A wśród obecnych szmer podziwienia...
Nie jedna wzdryga się dusza;
Czyn bohaterski i król ocenia,
W te słowa rzekł do Mucjusza:

— Dość! Rzymianinie, zmazałeś winę...
Milszym ci kraj twój nad życie...
Bogi rozsądzą, czy w spisku zginę,
Czy mnie zwycięzcą ujrzycie!

Ty wracaj wolnym do miłej Romy...
Opowiedz braciom twe czyny...
Niczem Rzymowi wrogie pogromy,
Gdy takie bronią go syny!...

— Szlachetny królu! gdyś nie jest wrogiem,
Wyznać ci wszystko już mogę:
Śmierć czyha na cię, zbliska, za progiem,
Gdziekolwiek zwrócisz swą drogę...

Umknij przed zgubą... Strzeż się udręki!
Trzystu przysięgło twą zgubę...
Zginiesz niechybnie z Rzymianów ręki,
Gdyż w tem chcą znaleść swą chlubę...

Tak przemówiwszy, wrócił do Rzymu,
A Rzym, przyjaźni śle gońce...
I zamiast bitew, pożarów dymu,
Pokoju wzeszło tam słońce...

Ocalił Mucjusz ojczyste pola
A lud uwielbiał go szczerze.
Zwano go odtąd zawsze: Scaevola *)
Za dłoń oddaną w ofierze.

Emilja Rychter.

Wesoły kącik.

STOSOWNA ODPOWIEDŹ.

Profesor, pokazując uczniom ładną pręgowatą zebrę w ogrodzie zoologicznym, pyta:

— Powiedźcie mi, co to za zwierzę?

Malec, z pierwszego szeregu, odpowiada bez namysłu:

— To koń, proszę pana profesora, ale w ubraniu kąpielowem.

ZASŁUŻONA NAGRODA.

— Powiedz mi, kochanku, dostałeś też jaką pochwałę w szkole przy tegorocznym egzaminie?

— O tak, proszę pana, mam aż cztery pochwały.

— A za co mianowicie?

— Najpierw za doskonałą pamięć.

— A następnie?

— Następnie?... Doprawdy, już zupełnie zapomniałem.

W SZKOLE.

Nauczyciel: Co wiesz, Władek, o rodzinie baldaszkowatych? (roślina).

Uczeń: Mama mi zakazała, proszę pana, mieszać się do spraw rodzin, których nie znamy.

---

*) Leworęki.

Pomnik.

Wiadomem jest powszechnie, iż w Paryżu powstała myśl wzniesienia Mickiewiczowi pomnika, godnego sławy i geniuszu naszego poety. Zawiązano w tym celu komitet, złożony z polaków i francuzów, rozpisano konkurs i zaczęto zbierać składki. Z pomiędzy wielu artystów, ubiegających się o zaszczyt przekazania potomności na obcej ziemi postaci wieszcza, wybranym okazał się znakomity rzeźbiarz Bourdelle. Projekt budowy, przedstawiony niedawno komitetowi, zadziwia nietylko jako dzieło sztuki, ale również jako wyraz głębokiego odczucia ducha twórcy „Dziadów". Na wysokiej kamiennej kolumnie, stoi pielgrzym, o natchnionych rysach twarzy, a tak uderzającej podobieństwem, że wprost wzroku od niej oderwać nie można. W jednem ręku trzymając kosztur, prawą wskazuje jakieś górne szlaki, może drogę wygnańcom do umiłowanej Ojczyzny. U czoła kolumny i po obu stronach umieszczone są płaskorzeźby, wyobrażające symbolicznie walkę narodu polskiego, i trzy siostrzyce, które chociaż rozdzielone, iść będą zawsze razem. Całość ma być zjawiskiem artystycznem i wywierać majestatyczne i podniosłe wrażenie.

Pomnik Mickiewicza w Paryżu podług projektu Bourdelle'a.

Porażka.

Osławione sufrażystki angielskie, które przemocą i różnymi nieodpowiednimi wybrykami, chciały wywalczyć prawo głosowania dla kobiet, uciekły się do środków, używanych tylko przez motłoch uliczny. Nie dość im było wieców, pochodów gromadnych, agitacyi wszelkiego rodzaju, napaści na ministrów, co wszystko razem do pożądanego celu nie doprowadziło; bojowniczki

Sufrażystki aresztowane za awantury uliczne w Londynie.

obecnie rozpoczęły nową kampanję od wybijania szyb w klubach, biurach i sklepach, rabując przytem i niszcząc niegorzej od prostych bandytów. Rozumie się, iż policya musiała położyć tamę zakłóceniu porządku i bezpieczeństwa publicznego, z pomocą czynną, oburzonych zuchwalstwem emancypantek mieszkańców Londynu. Większą część aresztowano chwilowo, przodownicom wymierzono karę paroletniego więzienia, lub wysokie grzywny. Czy to uspokoi wzburzone umysły, a raczej zaciekłość nie rachującą się z siłami własnymi, nie wiadomo, ale pewną jest rzeczą, iż sufrażystki w imię słuszności przemawiać się nie odważą, że wystąpiła przeciw nim stanowczo opinia ludzi trzeźwych i dawnych nawet zwolenników, i że nakoniec szeregi wojownicze ogromnie się przerzedziły.

Wielkie odkrycie.

Donoszą z Chrystyanii, że dzienniki norwegskie otrzymały pewną wiadomość o dotarciu przez znanego podróżnika Amundsena do bieguna południowego. Depesza datowana jest dnia 17 grudnia 1911 roku, z miejscowości Hobarttown na wyspie Tasmania. Niemieckie powagi naukowe, ze względu na twierdzenia niefortunnego poprzednika Cooka, podają w wątpliwość to odkrycie; ale Towarzystwo geograficzne w Paryżu uważa je za zupełnie wiarogodne i możebne. Amundsenowi wysłano już zbiorowe powinszowania, a król otrzymał telegramy winszujące od monarchów zagranicznych.

O odkryciu tem damy obszerniejszą wiadomość.

Strejk w Anglii.

Górnicą angielscy strajkują dotąd. Brak węgla dla fabryk i hut, zmusił do bezczynności kilkaset tysięcy robotników.

Na rysunku widać przemawiającego do towarzyszy górnika agitatora.

„Wiesz, Jaskółko, widziałem dziś prawdziwego Boulla. Szczęśliwa Francya, że ma tylu wielkich ludzi, czemu to u nas w Polsce brak podobnych.“ Tak mówił do mnie człowiek uczony i artysta. Jeśli wy, pisklęta, chcecie wiedzieć, kto wzbudził podziw mego przyjaciela, zajrzyjcie do encyklopedyi, znajdziecie między życiorysami sławnych rycerzy, czy królow, życiorys Andrzeja Karola Boulle'a, stolarza, który żył 200 lat temu.

„Stolarza“, zawoła *Polek*. *Polek* gardzi rzemiosłem, bo nie wie, ile rozumny i utalentowany rzemieślnik przynieść może sławy ojczyźnie. A gdyby tak za lat 200 kupowano twoje biurka i stoły na wagę złota i mówiono z uniesieniem: „zobacz, Jaskółko, to prawdziwy *Polek*“, czyż nie cieszyłbyś się, że Francuzi, Niemcy lub Anglicy wielbią polskiego rzemieślnika? Boulle miał czterech synów i wszyscy czterej, dumni ojcem, choć już bogaci, pracowali dalej dłutem lub heblem na chwałę Francyi, na chwałę swego nazwiska. Nie dziw, że dziś jeszcze, zarówno monarchowie, jak muzea ubiegają się o sprzęt naznaczony literami A. B.

Nia trudno odgadnąć twe nazwisko, *Słowiku*, cała Polska je wielbi, ja ci życzę z serca równej sławy, za to radzę koniecznie pozbyć się artretyzmu. Będziemy obie *z Zosią-Iskierką* chętnie czytały „Kometę“ i chwaliły dzielnych redaktorów.

Dumna jestem *Marysią z Podola*, tak ślicznie wymalowała kwiatek, który zachowam jako miłą pamiątkę razem z fotogra,ią kochanych czterech dziewczynek.

Łamigłówkę twą, *Mindowe*, przesłałam redakcyi, a ciebie, dostojny monarcho Litwy, proszę o długi i ciekawy list.

Biedna *Rybitwo*, jakże mi cię żal za brak kierunku; należałby się on dzielnemu i zdolnemu pisklęciu. Czyż moja kochana staruszka istotnie bywa już na balach? To zawcześnie, ptaszku! I jeszcze jedno: czytasz same powieści, otóż radziłabym ci udostajniać umysł poważniejszemi książkami, zapalać do czynów szlachetnych przez piękne życiorysy, oświecać przez opisy podróży lub szkice historyczne. Czy zgoda?

Pływak z Warty wie jak dogodzić Jaskółce, bardzo ładnie opisał swoją okolicę, a przytem polubił *Wieczory;* mogęż więc nie pokochać dzielnego korespondenta?

Śliczny dar spotkał mnie dziś od kochanej *Żabki*. Czy domyślacie się jaki? Oto trzy żywe kwiatki: *Smółka z nad Huczwy, Żabie oczko* i *Lwi pyszczek* zapukały razem z *Żabką* do gniazda Jaskółki. „Witajcie, i liściki częste przysyłajcie“ woła do was stary ptak, prosząc o wiadomości z przedstawienia. A kiedy otworzycie *„Okienko“?*

Na twoje pytanie *S. B.* odpowiedź dać może tylko redakcya, jej też doręczę szaradę; ciebie zaś proszę o list obszerny.

I twoje próbki, *Helo A.*, oddałam redakcyi, ale jako dawnemu pisklęciu, radzić będę z serca, aby pracowało wprzód usilnie, nim drukować zacznie. Znalazłam w powiastkach nawet ortograficzne błędy, naprzykład *ujrzała* przez *ż*.

Dobrze, *Lolu!* Jaskółka weźmie cię chętnie do gniazda i utuli skrzydełkami i szepnie nawet, że bardzo starannie piszesz, tylko donieś mi prędko dużo, dużo o sobie wiadomości figlarko. Czy obiecujesz to zrobić?

Właśnie dla tego miłą mi jesteś, *Goplano*, że serdecznie i milutko piszesz. Niech na królewskich dworach panuje etykieta, na dworze starego ptaka zamiast ceremonjalnych ukłonów, pisklęta tulą się śmiało pod skrzydła, a za to szczerze opowiadają o swoich zamiarach-

Wielką radość sprawił Jaskółce list kochanych dzieciaków z *Rybienka;* cieszę się zwłaszcza, że siostra *Złotej Gwiazdki* sama szyje sobie koszule, a *Biała Róża* nauczy się też niedługo obrębiać i stebnować. *Stokrotki* i *Białej Lilii* liściki ślicznie napisane; kto czytać, pisać i szyć umie, ten już dużo dobrego zrobić może na świecie; jestem też pewna, że dziewczęta z *Rybienka* będą zawsze chlubą swych dobrych panienek i wyrosną na dzielne Polki.

Źle *Kuropatwie* bez siostrzyczak i braciszków; tem serdeczniej tulę ją pod skrzydłami i proszę, niech posłucha, jaką radę szepce wszystkim jedynaczkom serce starego ptaka. Oto woła: „Kochajcie dzieci z suteryn, kochajcie dzieci z chat a nie będziecie samotne“. I rada bywa często dobra.

Jest pewien zuch w *B*, a zuchowi temu na imię *Adamek*. Stary ptak nie widział nigdy dzielniejszego jeźdźca, *Iskierka* zaś dzielniejszego towarzysza; niech nam doniesie, czy podobają mu się *Wieczory*, które dostał od mamusi na kolędę.

Jakież to wzruszające co piszesz, *Złote Słońce*, o żalu siostrzyczki za zmarłym ojcem! Masz słuszność, że sieroctwo to największe nieszczęście dziecka; moja *Zosia Iskierka* także często bardzo wspomina swoją zmarłą mamusię, a ja jej mówię wtedy, jak mówię, wam wszystkim drogim sierotkom, że najlepszym dowodem przywiązania do zmarłych jest naśladować ich cnoty. Żal mi cię, *Słońce*, za przykrości jakich doznajesz w szkole, a gdy tylko możesz broń dobrej sprawy, dobrą zaś jest twoja sprawa, kochane pisklę, gdyż *prawdy* nikt zmazać nie zdoła z kart dziejów, wcześniej czy później musi ona zostać uznaną przez wszystkich. Sama obrona prawdy zresztą przynosi zaszczyt tym, którzy mają odwagę ująć się za nią.

Jaskółka.